



Błękitna wstęga Dunajca

Imprezę tę traktuję jako coś obowiązkowego, ale także wyjątkowego, a to z kilku powodów. Po pierwsze – zimowa przerwa powoduje ogromną tęsknotę za wodą i pływaniem. Po drugie – z niecierpliwością oczekuję na spotkanie znajomych i przyjaciół kajakarzy z całej Polski. Wreszcie po trzecie – Dunajec jest rzeką kultową, dla wszystkich ludzi pływających kajakami, z racji

wieloletniej tradycji spływów i niepowtarzalnego klimatu.

W tym roku także wsiałem do samochodu załadowanego sprzętem, zapiałem kajak na dachu i ruszyłem na południe, gdzie czekała na mnie „moja” Błękitna Wstęga. Nie będę opisywał przejazdu. Jedyne dla niewtajemniczonych mała informacja! Spływ odbywa się na trasie z Nowego Targu do Nowego Sącza. W Nowym Targu następuje weryfikacja

uczestników, przydzielenie numerów startowych oraz załatwianie różnych innych formalności. Przy tak dużej imprezie czynnik biurokratyczny jest niestety nieunikniony. Każdego roku przyjeżdża na imprezę 800–1000 osób. Pamiętam takie lata, gdy na spływ przyjeżdżało około dwóch i pół tysiąca ludzi! Prawdziwa kajakowa potęga!

Biwak w Nowym Targu usytuowany jest obok hali hokejowej

popularnych „Szarotek”. Zastaję sporo namiotów, to kajakarze, którzy wcześniej płynęli Popradem, a następnie przeczuli się na Dunajec. Pierwsze powitania i uściski. Dojeżdżają następni uczestnicy, a wiadomo, że jutro sporo osób także przybędzie. Rozglądam się, kto jest, a kogo brakuje, takie małe sprawdzanie listy obecności. Wieczór upływa tradycyjnie, przy graniu na gitarach i śpiewaniu.

W kalendarzu każdego kajakarza jest szczególna data lub dzień, na który czeka i którego tęsknie wypatruje. W moim przypadku jest to czwartek – Boże Ciało. Tego dnia, od sześćdziesięciu sześciu lat, odbywa się Międzynarodowy Spływ Kajakowy na Dunajcu zwany w żargonie kajakarzy po prostu „Dunajcem”.

Rano pobudka, śniadanie, oficjalne rozpoczęcie imprezy, no i wreszcie na wodę. Woduję swojego zielonego Yukona-Expedition przy kładce łączącej oba brzegi rzeki. Mnóstwo odświętnie ubranych ludzi obserwuje start kajakarzy do pierwszego etapu spływu, wiele osób ubranych jest w stroje regionalne. Ruszam nieśpiesznie, bo wiem, że za chwilę czeka mnie pierwsza przenoska. To tzw.



jaz Nowatorski, który wszyscy obnoszą ze względów bezpieczeństwa. Przerzucam szybciutko kajak i płynę, pokonując kolejne bystrza i warkocze, starannie wybierając drogę. Należy wspomnieć, że technika pływania po górskich rzekach jest w ogromnym stopniu zależna od stanu wody.

Wyjmuję z luków Yukona wodę, naczynia i inne sprzęty potrzebne do przyrządzenia kawy. To taki mały rytuał. W tym miejscu zawsze robię czarny napój dla moich przyjaciół, Rysia Sadowskiego i Józka Elimera, kajakarzy z Gdyni, z którymi pływam prawie trzydzieści lat. Wreszcie docierają, popija-

i wsiadam do autokaru, który przewozi uczestników imprezy do Krościenka. Ale wałnęło! Wiatr w połączeniu z oberwaniem chmury spowodował, że zniknęli mi z oczu kajakarze, którzy zostali na jeziorze. Deszczowo-huraganowa kurtyna zasłoniła wszystko. Tym, którzy za nią stali, współczułem

BIADA TEMU, KTO ŹLE „PRZECZYTA” WODĘ, NIEWŁAŚCIWIE USTAWI KAJAK, WYBIERZE ZŁĄ DROGĘ, CZY UŁOŻY WIOSŁO PO NIEWŁAŚCIWEJ STRONIE ŁÓDKI. TO MIEJSCE NIE WYBACZA!

Wreszcie docieram do kolejnej przenoski – jazu Waksmundzkiego, który obnoszę lewą stroną i ruszam dalej, z dreszczykiem emocji, który zawsze towarzyszy mi na górskich rzekach. Wiadomo, że drobny błąd może zakończyć się wywrotką bądź też uszkodzeniem sprzętu. O to drugie specjalnie się nie martwię. Od czasu wprowadzenia polietylenu do budowy kajaków wiele się zmieniło. Łódki są bardziej trwałe i odporne na uderzenia o skały i kamienie. Jeżeli chodzi o „czytanie” wody i technikę pływania, to wywodzę się ze szkoły „składaków”, a ta jak wiadomo wymagała szczególnych umiejętności i nie wybaczała błędów. Płynę spokojnie, wybierając nurt rzeki i pozdrawiam górali, którzy siedzą z całymi rodzinami na brzegach, machając przyjaźnie do przepływających wodniaków. Wreszcie docieram do mojego ulubionego miejsca znajdującego się przed mostem w Hubie. To dosyć długi „zjazd” w kształcie litery S, najeżony kamieniami i z bardzo bystrym nurtem. Przepływam dosyć szybko i sprawnie dobijam do brzegu.

my kawę, obserwując kajaki, kandydki oraz tratwy przepływające przez nurt pełen wielkich głazów. Nie jest to bynajmniej oglądanie biernie. Jeden z nas, przewiązany rzutką, wskakuje od czasu do czasu do lodowatej wody, pomagając tym, którym się nie udało i znaleźli się w rwącej kipieli. Na brzegu leżą kajaki, wiosła, kapoki oraz inne rzeczy, które wyciągnęliśmy z wody. Ludzie – na szczęście – nie leżą, tylko klarują swój sprzęt. Mieli tzw. kabinę, a my pomagamy im pozbierać się i wyruszyć w dalszą drogę. My także ruszamy. Dopytam do Zalewu Czorsztyńskiego. To wielkie, sztuczne jezioro jest końcowym etapem pierwszego dnia spływu. Gdy mijamy most w Hubie i wpływamy na zalew, obserwuję z niepokojem gromadzące się czarne chmury, z których od czasu do czasu groźnie błyska. Naciskam na wiosło i płynę na maksa do przodu – niczym na wyścigu. Jak ja nie lubię deszczu na wodzie!!! Mijam ruiny zamku w Czorszynie i pędzę do mety pierwszego etapu w Misernej. Dosłownie w ostatniej chwili pakuję kajak na samochód

i to bardzo. Dojechałem na biwak w Krościenku, gdzie jeszcze lał deszcz, a pole namiotowe tonęło w wodzie. No cóż, taki nasz kajakarski żywot. Następnego dnia to droga przez niewątpliwie najpiękniejszy odcinek rzeki. Nareszcie mam „swoją” Błękitną Wstęgę w całej krasie. Ruszamy z Kątów, małej wioski na pograniczu ze Słowacją. Po wczorajszej burzy woda znacznie się podniosła i przykryło wiele przeszkód. Płynę bardzo szybko, bo i Dunajec wartko niesie. Docieram do Sromowców, skąd ruszają flisacy na swoich tratwach. Łodzie i ich przewodnicy w strojach regionalnych robią bardzo korzystne wrażenie. Na tratwach turyści z aparatami i kamerami uwieczniają wszystko dookoła. A jest co! To przeciw Pieniński Park Narodowy. Strone urwisko skalne schodzące do samej wody, zakola rzeki pełne bujnej roślinności, strzeliste jodły oraz świerki i pędząca pomiędzy skałami woda. Wszystko to robi wielkie, niezapomniane wrażenie. Aha, jeszcze coś – to oczywiście kajakarze płaczący się pomiędzy



foto: Piotr Wroński, Ryszard Sadowski, Paweł Kosmala, Krzysztof Piasński

potężnymi tratwami pozdrawiają turystów i przewodników, którzy odrobinę przestraszeni patrzą na nasze małe łódki. Wreszcie docieram pod Trzy Korony, miejsce najbardziej znane w całych Pieninach. Wsiadam z łódki i udaję się do zaprzyjaźnionego baru „U Tomka”. Zajądam się nieprawdopodobnie pysznym pieczonym pstrągiem, a gospodarz dokłada jeszcze specjał nad specjały – góralski kociołek. Chyba nie wstanę!

Wreszcie ruszam. Płynę, mijając majestatyczne Trzy Korony, a chwilę później zawieszony nad rzeką szczyt Sokolicy, to robi wrażenie. Zbliżam się do Szczawnicy, ale wcześniej słyszę moje kolejne ulubione miejsce. To ostry prawy zakręt, za którym nurt rzeki rozdziela się. Można w prawo – będzie łatwiej, można w lewo – czysty hard core. Wybieram opcję – tę, co zawsze (zgodnijcie którą?). Lecę, dosłownie i w przenośni pomiędzy fale, które mnie przykrywają i przelewają się przez głowę. Z prawej burty dostaję warkocz wody (to ta łatwiejsza strona), robię podpórkę i już jestem w miarę na spokojnej wodzie. Nie zawsze tak było, w tym miejscu leżałem i „kabinowałem” się dwa razy – taki nasz kajakarski żywot.

Dalej jest już spokojnie, przepływam przez Szczawnicę, za którą do Dunajca wpada mały potok o wdzięcznej nazwie Grajcarek. Poniżej rzezonego na środku dunajckiego nurtu sterczy wielka skała. Siedzący na niej ratownicy są znakiem, że może być ciężko. Woda rzuca kajakiem w prawo i w lewo, ale znów jakoś poszło. Jeszcze tylko most i osiągam pole biwakowe w Krościenku. Zatrzymuję się na krótki posiłek i płynę dalej. Zazwyczaj w tym miejscu stajemy na biwak, ale organizatorzy tegorocznego „Dunajca” nieco zmienili trasę. Przede mną jeszcze około 10 km – do Wietrznicy. Trasa jest stosunkowo szybka, jak wcześniej wspominałem – przeszkody zniknęły pod wodą, i niesie mnie bardzo wartki nurt. Docieram do końca etapu, ale zanim to następuje, przede mną chyba najtrudniejszy moment na całym szlaku. Dla niewtajemniczonych ponownie krótka informacja – Wietrznice to tor do uprawiania kajakarstwa górskiego. Dzisiaj jest zamknięty,

ponieważ odbywają się na nim Drugie Otwarte Mistrzostwa Polski we Freestyle’u Kajakowym. Płynę więc lewą stroną rzeki, tzw. torem naturalnym. Biada temu, kto źle „przeoczyta” wodę, niewłaściwie ustawi kajak, wybierze złą drogę czy ułoży wiosło po niewłaściwej stronie łódki. To miejsce NIE WYBACZA! Zjeżdżam w dół pomiędzy kamieniami, w białej kipieli wyrabiając się na zakrętach i ocierając się o wielkie głazy. Trwa to krótką chwilę i już jestem przy lewym brzegu cały i zdrowy. Odpinam fartuch z Yukona i idę na tor oglądać zawody. Dzisiejszy dzień to czas eliminacji. Freestyle’owcy wzbudzają ogromny podziw, a ich „figury”, które wykręcają w białej kipieli – aplauz licznie zgromadzonej publiczności.

Zostawiam sprzęt przy torze i wracam do Krościenka na biwak. Sobota jest ostatnim dniem spływu. Błękitna Wstęga pędzi naprzód, ale jakby wolniej. Krajobraz staje się inny, bardziej płaski z szerszą perspektywą. Nie znaczyło, że można sobie „odpuścić”, starzy bywalcy wiedzą, czym to grozi. Mniejsze i większe bystrza, zakręty i inne – mówiąc językiem rajdowym – szykany, sprawiają, że uwaga musi być w ciągłym napięciu, a wiosło w pogotowiu. W dale widzę wieże i zabudowania, to znak, że zbliżam się do celu – Nowy Sącz. Przede mną jeszcze wielki i bardzo nieprzyjemny „próg”. Obnoszę tę przeszkodę z prawej strony, zerkając z niechęcią w kipieli najeżoną prętami, drutami i fragmentami betonu. Gdyby nie te wszystkie „cuda”, można by spróbować skoczyć, a tak ryzyko jest zbyt wielkie. Niezależnie od pokusy jest zakaz pokonywania tego spiętrzenia. Wsiadam do swojego kajaka poniżej niesympatycznego miejsca i już za chwilę jestem w Nowym Sączu.

Jeszcze tylko pakowanie łódki na samochód i tegoroczny „Dunajec” mam za sobą.

Dziękuję, Piękna Rzeka, że jeszcze raz byłaś dla mnie łaskawa. Jeżeli pozwolisz, wrócę tu za rok z wielką radością, jak to czynię od ponad dwudziestu lat. ■

K. Ptasieński „Ptak”

Autor jest członkiem grupy „K i M”
www.comartin.pl/kazik i my